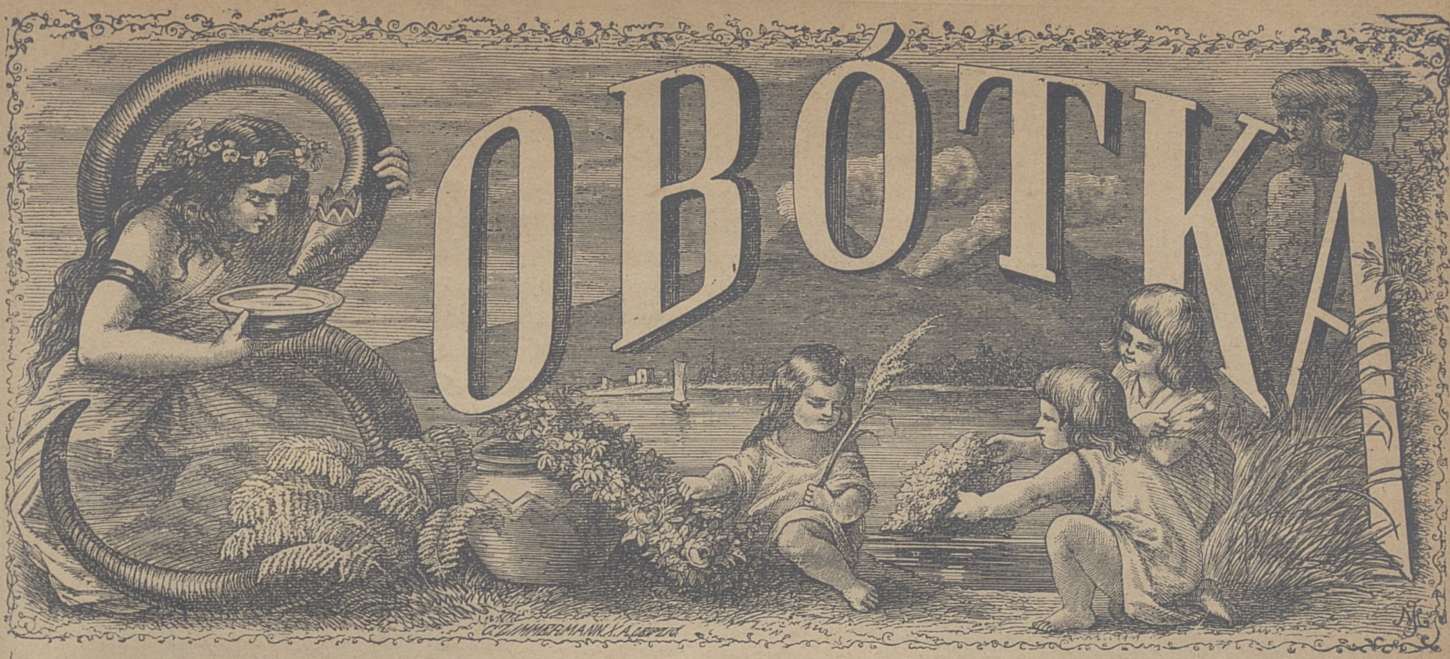


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 2. Poznań, dnia 9 Stycznia 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki,**

(Dalszy ciąg.)

Naprzeciw niéj siedziała jéj krewniaczka, starsza o parę lat Tekla Orlewska i zupełną z nią stanowiła różnicę. Wyższa wzrostem, jasna blondynka, oczu niebieskich, białego a rumianego lica, uderzała na pierwsze spojrzenie wdziękiem swéj urody. Wesoła, uśmiechnięta, jakby chciała mówić o szczęściu życia, jakie w całéj pełności poczuwała. Zdawała się starszą nad wiek swój, lubo zaczynała dopiero rok dziewiętnasty życia. Patrząc na swą przyjaciółkę, zasępiła się chwilowo i rzekła do niéj:

— Tociu! co ci jest? widzę niepokój w twych oczach, które mówią mi wyraźnie, że twoje serce chore; jakieś nowe myśli zamąciły twoją główkę.

Tekla Żurowska na te słowa podniosła oczy, a spojrzawszy na towarzyszkę, z cicha łkając, rzuciła się w jéj objęcia.

— Wyspowiadaj mi się, Tociu, a to ulży twemu sercu. Siadaj kochanie, otrzyj z łez swoje oczęta, i mów, ale mów cicho, bo ciocia Brygida, jak każda starsza panna nadzwyczaj ciekawa i lubi podsłuchiwać. — Kiedy jednakże Tocia, opuściwszy smutnie głowę, słowa wyrzec nie mogła, przyjaciółka zaczęła z cicha mówić coraz weselszym tonem, patrząc, jak się jéj oblicze wyjaśnia, i radość zaczyna wybijać.

— Panna prezesówna z wolném serduszkiem przyjechała do Międzyborza, ale już zamyślała się często w domu i drodze; prawda, wiek to już po temu dojrzały, bo zaczynamy siedmnasty rok życia. Ja ci, moja Tociu, mogę śmiało matkować, bom o całe prawie dwa lata starsza. We dworze Ihnatowskim i ojciec i matka, sąsiedzi i przyjaciele, wszyscy unosili się nad jenerałem Kościuszko, opowiadali jego czyny bohaterskie w Ameryce, gorącą przyjaźń z Waszyngtonem: i trzeba takiego zdarzenia, że panna prezesówna zamieszkała naprzeciw kwatery jenerała, że już go kilka razy z bliska widziała, że nawet w ogródku doktora rozmawiała, a grzeczny jenerał serdecznie rączki ucałował Toci. Odtąd panna prezesówna zamyśla się często, wzdycha jak ptaszek w klatce, siadywa w okienku niby z robotą, ale rączki jéj spoczywają nieczynne, a spojrzenie idzie tam, jak ciotka Brygida powiada: „gdzie serce, tam oczy,“ bo panna prezesówna panu jenerałowi bardzo sprzyja.

Na te słowa Tocia głęboko, ale swobodnie odetchnęła, jakby kamień spadł jéj z piersi. Krasna niezwykłym rumieńcem, małą rączką zakryła usta przyjaciółce z radosnym uśmiechem. Orlewska śmiejąc się także wesoło, spojrzawszy w okno, szepnęła jéj do ucha:

— Spojrzyj na ganek —, już siedzi pan Tadeusz.

Jenerał rzeczywiście zajął teraz ulubione sobie miejsce na ławeczce, z któréj mógł widzieć dogodnie okno panny Żurowskiéj. Tocia rzuciła ukradkiem spojrzenie, ale spuściła zaraz głowę, jakby nic nie widziała, gdy w téj chwili drzwi się roztwarły i weszła wystrojona panna Brygida Żurowska, siostra prezesa, nie podwiązana szafranową husteczką. Włosy gładko uczesane zdobiła wiązanka niezapominajek z różą.

Orlewska dała znak tajemny przyjaciółce, a sama nieznacznie zapuściła firankę okna. Tocia poskoczyła wesoło, a całując ciotkę w rękę:

— Jakże się spało cioteczce? spytała.

— Dobrze! wybornie! odrzekła panna Tekla.

— A zkąd to wiesz moja Tekluniu? mówi zdziwiona panna Brygida.

— Widzę to po twojém żywém spojrzeniu, cioteczko, po świeżym rumieńcu na twarzy, po tych ruchach postaci, pełnych życia i wdzięku.

Panna Brygida, ucieszona tém pochlebstwem rozumnéj a przebiegłéj panny Tekli, ucałowała obiedwie z nadzwyczajną czułością i zaczęła sen swój opowiadać, z którego na przemiany wróżyła pomyślną i niepomyślną dolę dla siebie.

— Ale cóż tak, moje panny, z zasłonioném siedzicie oknem, takie świeże powietrze, aż miło oddychać. Pozwólcie, niech okno otworzę.

Świeży powiew, pełen balsamicznéj woni, napełnił zaraz pokój cały; panna Brygida, stała chwilę w otwartém oknie, a potém rzekła:

— Panny! patrzcie z daleka, nasz jenerał widać jedzie na mustrę, bo dosiada ślicznego konia. O! O! zbiera się widać cały sztab jego, bo już panowie rotmistrze Potocki i Zaremba pędzą: pan porucznik Kniaziewicz siedzi na koniu, pan Kwaśniewski biegnie do stajni, a ten wartogłów Raciborski, harcując przed dworem, kłania mi się i białą chustką powiewa na pozdrowienie. Moje panny, usuńcie się daléj, jeszcze trochę daléj. Nie wypada stać nam w oknie.

— Ciocia niech przecie dygnie ładnie pięknemu kadetowi.

— Że chłopiec piękny, to prawda, bo to jak krew z mlekiem a żywy jak iskra: ale młokos, młokos, powiem dzieciuch.

Tymczasem nadjechali galopem Potocki z Zarembą i pokłonili się stojącéj w oknie pannie Brygidzie, która dygnęła nisko. Zaledwie stanęli na podwórzu kwatery jenerała, po krótkiéj rozmowie Kościuszko zsiadł z konia i wszedł do dworu, a sztab cały wolnym stępem wyruszył za miasto. Wszyscy kłaniali się grzecznie uradowanéj ciotce, która każdemu oddzielny poświęciła ukłon Panna Tekla, przez głowę jéj wszystko widziała, i śmiała się serdecznie z Tocią; po chwili ciocia odeszła, pod pozorem zajęcia gospodarskiego, a obiedwie przyjaciółki usiadły przy otwartém oknie swobodne i radosne. Przed gankiem kwatery jenerała, luzak przeprowadzał osiodłanego karego arabczyka. Dzielny rumak grzebał ziemię kopytem, podnosił małą a zgrabną głowę, parskał ochoczo i co chwila zrywał się do podskoków. Niedługo wyszedł na ganek Kościuszko, dosiadł karego, który teraz stał spokojnie, ale zaledwie poczuł jeźdzca na sobie, zaczął jak w tańcu wyprawiać korbety. — Jenerał, już wsiadając, dostrzegł obie dziewice: zwolna podjechawszy pod okno, spojrzał na piętro i spotkały się jego oczy z oczyma wymownemi prezesówny. Zdjął rogatywkę, przycisnął do serca i skłonił głowę z poszanowaniem. W całém tém poruszeniu malowało się poważnie głębokie uczucie.

— Patrz, Tociu! jak nam się ślicznie pokłonił: tak pozdrawiali panie swych myśli i serca dawni na turniejach rycerze!

Tocia może nie słyszała tych słów przyjaciółki, wypowiedzianych z zapałem, bo oczy, myśl i serce posłała za jeźdzcem, który kilka jeszcze razy zwrócił głowę ku stronie otwartego okna i kłaniał amarantową konfederatką!

III.

Prezes Maciej Żurowski liczył właśnie pięćdziesiąt lat z górą. Urodzony za Sasów, wychowany w szkołach Jezuitów, całą charakterystykę dawnego szlachcica polskiego w sobie zespolił. Klejnot szlachecki ze złotą wolnością i liberum veto cenił najwyżéj. Kiedy jednakże na zniesienie liberum veto daremnie się zżymał, nigdy nie mógł zapomnieć tego tak drogiego przywileju każdego bene natus et possessionatus, że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.

Szorstkość jezuickiego chowu okrzesał i wygładził na dworze króla Stanisława Augusta. Przy koronacyi jego jako oficer przybocznéj straży jechał w orszaku nowego króla. Wśród zcudzoziemczałego dworu, na którym wyszydzano w każdéj chwili i przy każdéj sposobności, jak ubiór, tak zwyczaj a obyczaj narodowy, zowiąc go grubym sarmatyzmem, w téj to chwili, zapomniał i o złotéj wolności i o liberum veto, godząc się z nowym porządkiem rzeczy i wyobrażeń. Opuściwszy dwór królewski, był deputatem na trybunał lubelski, następnie marszałkował na sejmiku, pełnił późniéj obowiązki komisarza cywilno-wojskowego, w ostatku sprawował urząd prezesa na Podolu. Nieposzlakowanéj prawości, z cnót obywatelskich szanowany, znany był z pobożności i miłosiernych uczynków. Prędzéj żonie, córce, krewnemu odmówił spełnienia prośby, niż obcemu, bo trzymał się téj zasady, iż swoim udzielając, dla siebie tylko niejako robił: odejmując zaś sobie, lub swoim, wypełnia dopiero obowiązek względem Boga i bliźniego. Obdarzony bystrą pamięcią, zasięgając wspomnieniem lat dawnych, na co sam patrzał, lub żywém słowem tradycyi pochwycił umiał opowiadać zajmujące wypadki, których żaden historyk, żaden dyaryusz ani Silva Rerum nieprzechowało, z czasów Jana Sobieskiego, którego podług zwyczaju w Rzeczypospolitéj zwano królem Sobkiem, z napadu Szwedów pod Karolem XII, ze zdarzeń za królów Augusta II i III i z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Ożeniony z Wisłocką, szczególniéj miłował i szanował swoję panienkę, jak zawsze nazywał małżonkę, która, będąc wątłego zdrowia, potrzebowała czułéj opieki i pełnego delikatności obejścia. Prezes przy wszystkich przymiotach był gwałtownego charakteru i skory do wybuchu, ale jedno słowo jego panienki, jedno spojrzenie było dostateczném do pohamowania się w uniesieniu. Jeżeli się zdarzyło, że zapłakała ze wzruszenia, lub z powodu zbytniego uniesienia małżonka, zadraśnięta ostrém jego słowem, pan Maciej na kolanach przepraszał swoję panienkę, dopóki na jéj wdzięczne oblicze nie wywołał uśmiechu!

— Oj! mój Macieju! Macieju! za często grzeszysz, a potém przepraszasz! To były jedyne słowa wymówki przywiązanéj żony.

Tegoż dnia siedzieli oboje w sali, w poobiednéj porze, przy otwartych drzwiach na ganek, gdy weszła panna Brygida, strojniéj jeszcze przybrana, jak rano, z bukiecikiem róż u boku i zapowiedziała odwiedziny sztabu jenerała Kościuszki.

— Rad będę poznać panów oficerów; wszystko znać

dzielni ludzie a i jeźdzcy dobrzy. Widziałem ich wczoraj na mustrze a to każdy mój Moci siedzi jak przykuty: nawet ten kadecik Raciborski, do którego panna siostra słodkie, jak mi mówiono, robi oczka, wszak to mój Moci jeździec nad jeźdzcami!

— Któż to, panu bratu, taką ploteczkę ulepił, zapytała z małém uniesieniem panna Brygida: wszakże to dziecko!

— Zapewnie mój Moci, moja panno siostro, ale de gustibus non est disputandum: tandem jeździec co się zowie, a jaki zwinny i zręczny! Wczoraj per exemplum w najtęższym galopie, rzuciwszy konfederatkę na ziemię, zatoczył swoim dzielnym siwkiem i podniósł ją z ziemi. Ażem z radości ucałował pacholę: boć i człowiek w jego wieku umiał takie sztuczki. Raz, gdym w przytomności króla Jegomości w łazienkach chustkę, rzuconą przez panią Grabowską na drogę, w pełnym galopie podniósł, to król Jegomość aż zbladł z przerażenia, bo myślał, jako mi sam mówił, że kark muszę skręcić.

— Moja Brygisiu, rzekła prezesowa, bądź tak dobrą i każ przygotować kawy a poślej do cukiernika.

— Wszystko będzie dobrze! już urządziłam i kawa i ciasta gotowe.

— Dajże mi buziaczka, kochana Brygisiu.

— A gdzież nasze dwie Teklusie? zapytał prezes.

— Siedzą w swoim pokoiku, zajęte dywanem dla tutejszéj Fary: ale zaraz je uwiadomię o spodziewanych odwiedzinach. To wyrzekłszy, panna Brygida pobiegła wesoło do ubocznego pokoju, przywołując panny do sali.

Sama usiadła przy oknie, ciągle spoglądając niespokojnie na kwaterę jenerała. Nagle zerwała się i zawołała:

— Goście spodziewani już idą!

Jakoż niedługo szczęk pałaszy dał się słyszeć w przedpokoju: drzwi stary kredencerz Walenty roztworzył naścieżaj i wszedł na czele rotmistrz Potocki, za nim Zaremba z Kniaziewiczem, a w końcu Kwaśniewski z Raciborskim. Prezes powstawszy, ze staropolską gościnnością witał uprzejmie przybyłych. Do każdego przemówił z serdeczném uczuciem. Potocki i towarzysze, ucałowawszy rączki prezesowéj, panny Brygidy a w ostatku obu panien, zasiedli w okół stolika. Prezesówna niespokojném okiem spoglądała to na ulicę, to na dwór naprzeciw stojący, to na drzwi sali, jakby oczekiwała kogo. Orlewska wyczytała, co się dzieje w jéj sercu, szepnęła więc z cicha:

— Bądź cierpliwa, niedługo przyjdzie.

Potocki po zagajeniu rozmowy, zbliżył się do prezesa i rzekł z ukłonem:

— Państwo dobrodziejstwo zapewne dozwolą, że nasz jenerał złoży im swe uszanowanie.

— A mój Moci Dobrodzieju, zawołał Żurowski, będziemy to mieli sobie za największy zaszczyt; dla pana jenerała zawsze u nas jak serca tak i drzwi otwarte.

Tocia odwróciła głowę, przycisnęła ręką bijące gwałtownie serce, kraśny rumieniec oblał jéj oblicze. Na szczęście nikt prócz przyjaciółki nie zważał na to wzruszenie głębokie. Potocki szepnął parę słów na ucho Raciborskiemu, który nieznacznie wybiegł, aby dać znać Kościuszce, że go oczekują.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do Muzyki.

Gwiazdo święta, pośród cieni
Tego świata najjaśniejsza,
Z łez, tchnień, woni i promieni
Urodzona, ty najlżejsza,
Idealna! Gwiazdo boża,
Zawieszona u podnóża
Wszechmocnego Panów Pana
I w łzach jego wykąpana —
Tyś jest niczém nie ujęta,
Trzykroć święta, święta, święta!

Pierwsze w świecie uczuć drgnienie
Jest zarazem twém poczęciém:
Słaba w ówczas — swém zaklęciem,
Rozdmuchujesz dziś płomienie!
Twa harmonia, gdy owionie
Pierś człowieka, wnet zniewala,
Rwie go z sobą i rozpala
Iskry wszystkich uczuć w łonie.
Dusza jego zachwycona,
Rozkochana, czysta — wzlata,
Na twych dźwiękach uniesiona,
Za granice tego świata
I tam razem z twemi tony
Zespolona, ledwie żywa,
Raj ogląda utracony,
I... wraz z tobą się rozpływa.

Kiedy smutna, rozbolała,
W niebo wzlecisz — twoja skarga
Wielka, straszna i wspaniała,
Wszystko skrwawi i potarga,
Bo twa boleść tak przeczysta,
Taka wielka, taka złota,
Jak wylana ta łza Chrysta
Za ród ludzki na Golgota!

Córo światła! ty natchniona!
Równéj sobie tu na ziemi
Niemasz między siostry swemi
Prócz poezyi. Ty i Ona!

Ty i Ona w jedno zlane,
Wspierające się wzajemnie,
Rozjaśniacie piekieł ciemnie!
Tyś swém tchnieniém stopić w stanie
I najtwardsze serca lody!
Ot — już nikną świata chłody,
Miłość tylko pozostanie!
Twa potęga niepojęta. —
Trzykroć święta, święta, święta!

M. Herburt.



Ofiary ludzi w Indyach.

Ofiary ludzi w Indyach.

(Z ryciną.)

Prawie u wszystkich ludów pogańskich tak w starożytnych, jako i nowszych czasach były w użyciu krwawe ofiary ludzi. Zrodziły je mętne pojęcia o bóstwie, któremu szczególniejsze przypisywano upodobanie we krwi najdoskonalszego stworzenia, wylanéj ofiarniczym nożem kapłana. Rozmaite były pobudki, dla których ludzi ofiarowano. I tak dawni Celtowie zabijali corocznie, młodzieńca, wybranego losem, ażeby tenże bogom dokładną dawał wiadomość o wszystkich potrzebach kraju i osobiście ich o błogosławieństwo błagał. Grecy przed bitwą salamińską zabili trzech młodych Persów, chcąc szlachetną tą krwią pobudzić bogów do wzięcia udziału w walce. Xerxes kazał raz niemowlę na dwie rozpłatać części, sądząc, że w ten tylko sposób zdoła odwrócić gniew bogów od swego wojska. Matka zaś jego, królowa Amestrys, kazała aż czternastu ludzi zgładzić, jedynie by wyrazić bogom swą wdzięczność za długie życie, którém ją obdarzyli. Starzy Egipcyanie wrzucali co rok dziewicę w nurty Nilu, by mieć urodzaje na wiosnę. Zwyczaj zaś zabijania niewolników i jeńców wojennych przy pogrzebach znakomitych osób w tym celu, ażeby nieboszczyk miał kogoś do posługi na drugim świecie, był u wielu ludów starożytnych rozpowszechnionym.

Załączona tu rycina przedstawia jednę z ofiar ludzi, jakie aż do niedawnego czasu były w używaniu u indyjskiego pokolenia Chondów, podlegającego obecnie berłu W. Brytanii. Jest to lud ciemny, pełen najosobliwszych przesądów i fanatyzmu religijnego. Pojedyńcze jego szczepy mają oddzielne terytorya i rządzone są przez patryarchów, którzy uchodzą za zastępców wspólnego wszyskim praojca. Wsie ich składają się z dwóch długich szeregów domów, które jednę tworzą ulicę. Każdy sam sobie buduje dom, którego nigdy nie naprawia. Gdy wskutek tego umyślnego zaniedbania mieszkań wieś podupadnie, natenczas cała ludność ją opuszcza i zakłada sobie nową siedzibę, przy czém z materyałów budowlanych dawnéj wsi żadnego nie robi użytku. Przenoszą się oni tak mniéj więcéj co 14 lat z miejsca na miejsce, czasem nawet wcześniéj, gdy ich zabobon jaki z dotychczasowéj osady wypłoszy. Mimo tego na pół koczowniczego życia, rólnictwo jest u nich w wysokiém poważaniu. Każdy sam własną rolę uprawia, a najemnik jest u nich zupełnie nieznanym.

Władza ojcowska u Chondów jest podobnie, jak u dawnych Rzymian, nieograniczoną, tak że syn za życia rodzica nie może i najmniejszego kawałka ziemi na własność posiadać. Po śmierci ojca grunt i inwentarz żywy przechodzi na potomków płci męzkiéj, córki zaś dostawają tylko sprzęty domowe, gotowiznę i klejnoty. Bracia są zobowiązani żywić je aż do zamążpójścia przy którém dawają im wiano. Zwyczaj ten, który i u nas w Polsce był zachowywany, ma tę dobrą stronę, że nie posagi, lecz osobiste zalety zapewniają pannom chondyjskim świetne partye. Małżeństwa są dozwolone jedynie między osobami, do różnych szczepów należącemi i to jak się zdaje nie tylko z politycznych powodów, ażeby ciągłą utrzymywać łączność między pojedyńczemi plemionami, lecz także dla zapobieżenia związkom małżeńskim między bliskimi krewnymi.

Kobiety doznawają w ogóle dobrego obejścia i do pracy w roli są li podczas żniw używane. Im jednakże przypadała w dawnych czasach najczęściéj smutna rola baranków ofiarnych przy wszystkich krwawych uroczystościach, które wyprawiano na cześć bożka ziemi, zwanego Tado Pennor, ażeby odwrócić grożące niebezpieczeństwo lub dobre żniwo uprosić — albo też na cześć Maneka Soro, czerwonego bożka wojny, ażeby sobie łaski u niego zaskarbić. Niekiedy i pojedyńczy ludzie składali bogom takie ofiary dla przebłagania ich gniewu.

Ofiara, którą tu na rycinie widzimy, jest prologiem wyprawy wojennéj na nieprzyjaciela. Na krawędzi lasu, roztaczającego wszystkie bogactwa zwrotnikowéj roślinności, zebrała się starszyzna, gotowa do boju. Nasamprzód wbito pal w ziemię, a potém przyprowadzono biedną dziewicę, którą już poprzednio naczelnik wybrał z liczby t. zw. merjasów czyli kandydatów śmierci. Przywiązano ją do pala, a starcy, krwi chciwi, stanęli do koła z podniesionemi włóczniami i nożami. Siwobrodzi dobosze uderzyli w bębenki, stóletni kapłan przystąpił do ofiary i wzniósłszy ręce ku niebu, zaintonował śmiertelny pean. Kilkadziesiąt chrapliwych głosów pochwyciło go i podało echu leśnemu. Nieszczęśliwa dziewczyna słucha pieśni z niemą rezygnacyą, odwróciwszy twarz swą na stronę. Biada, gdy śpiew ten dziki przycichnie! Wtedy cała ta tłuszcza, pijana szałem wojennym, rzuci się, jak stado jastrzębi, na biedną gołąbkę. Rozlegnie się krzyk, rozdzierający uszy, wszystkie mordercze narzędzia starców utkwią w odsłonionéj piersi dziewicy, a krew ciepła szerokim strumieniem popłynie na ziemię. Po chwili wojownicy ci pójdą odważnie potykać się z nieprzyjacielem, sądząc, że spełnili uczynek, bogom przyjemny. — Okropny zabobon! Szczęściem cywilizacya europejska przeniknęła już do tych zamierzchłych lasów i położyła tamę dalszemu krwi rozlewowi.

e.

Sobotnia pogadanka.

Mieszkając od dawna w Poznaniu, znam na palcach wszystkie jego publiczne i prywatne ogrody — choćby tylko z posłuchu, lecz o tym ogrodzie, który w noc noworoczną zwiedziłem, nigdy mnie dotychczas ani głucha wieść nie doszła. Gdzie on leży? i jak się do niego dostałem? o tém nie umiem więcéj powiedzieć, jak Dante o swym czarnym lesie, w którym znalazł wchód do piekła. Tyle tylko pamiętam, że, wypiwszy na wieczornem posiedzeniu redakcyi w Sylwestra potężny toast na pomyślność Sobótki, powiedziałem całemu towarzystwu

„Dobra noc!“ i wyszedłem na ulicę. Mając głowę nabitą myślami o obowiązkach sobotniego gawędziarza, którem niebacznie na siebie był przyjął, nie uważałem, którędy idę, aż się znalazłem przed otwartą bramą jakiegoś pięknego ogrodu.

Widok zielonych drzew i kwitnących róż, oraz srebrzysta światłość, rozlana dokoła, skusiła mnie wejść do zaczarowanego ustronia. Lecz zaledwie dwa kroki uszedłem, gdy mi straszny potwór z jadowitym wzrokiem zabiegł drogę i przeraźliwie syknął: „Stój śmiałku! Tu wchodzą tylko literaci!“ Drżącą ręką sięgnąłem tedy do kieszeni po pierwszy numer Sobótki i wydartą z niéj „Pogadankę“ rzuciłem w paszczę Cerberowi — wbraku lepszego patentu na pismaka. Lecz on podarł ją w mgnieniu oka w strzępy, oślinił krytyczną żółcią i rzucił mi napowrót pod nogi, wołając drwiąco: „To sieczka, panie Viginti! Z nią nie wejdziesz do królestwa peryodycznéj Prasy!“

Zawstydzony, zabrałem się do odwrotu, gdy wtém miluchny odezwał się głosik: „Cerberku tu do nogi! Gdy nie ma gości w galonach, dobry i szaraczkowy przychodzień. Wpuść go natychmiast!“ Patrzę z podziwem, kto na mnie tyle łaskawy i spostrzegam piękną niewiastę w osobliwym stroju. Suknię miała uszytą z samych gazet i czasopism, naszyjnik nanizany ze złotych czcionek; na głowie błyszczał między splotami włosów i dyademem z nieśmiertelników misterny, kryształowy kałamarzyk a w ręku trzymała wielkie srebrne pióro z szeroko nastrzępioną kiścią. Widząc, że jéj się przyglądam z zagapioną miną, jak Grabiec Słowackiego galaretowéj Goplanie, przerwała pierwsza milczenie i rzekła:

„Jam jest wielkopolska Prasa! Chceszli zostać mym rycerzem, synu pióra, to pójdź za mną.“ Powiedziawszy te słowa, obróciła się z godnością i majestatycznym krokiem wstąpiła na główny chodnik ogrodu W milczeniu puściłem się za nią, zrobiwszy poprzednio warczącemu jeszcze u bramy Zoilowi szyderczy giest z pustoty.

Z początku szliśmy między zupełnie gołemi trawnikami. Dopiero na skręcie ujrzałem dwa krzyżyki naprzeciw siebie, do połowy już w ziemię zapadłe. Na jednym z nich szarzał zaledwie czytelny napis:

Mrówka Poznańska r. 1821—1822,

na drugim zaś:

Weteran Poznański r. 1825—1826.

„To mogiły moich pierworodnych dzieci,“ rzekła z lekkiém westchnieniem pani Prasa. Nieboraczki pomarły mi jeszcze w kolebce; miały zbyt słabe piersi a ówczesna atmosfera nie dostarczyła im do oddychania dosyć kwasorodu.“ Po chwili ukazał się oczom naszym przyjemniejszy widok. Klomby pysznych kwiatów, otoczone wiankiem drzew i krzewin, nęciły oko do siebie, a rój słowików srebrnemi tony mile pieścił ucho. Pieśni ich jednakże były niezwyczajnie smętne i żałośne. Nie dziw! śpiewały nad grobowcami, które się niebawem zaczęły po obu stronach drogi wychylać z pod ciemnéj cyprysów zieleni.

Strzaskana kolumna z napisem: Orędownik Naukowy (1840—1845) i godłem: Stetit acer in armis! zdawała się nieprzyjaźnie patrzeć na stojący po drugiéj stronie pyszny sarkofag z marmuru, na którym złote błyszczały litery: TYGODNIK LITERACKI i cyfra 1838—1846. Opodal wystrzelił wysoko ku niebu obelisk z granitu, na którym wyryte było: Rok 1843—1846, o kilkanaście kroków daléj stał posąg kobiety, pochylonéj nad urną, na któréj było napisane: Dziennik domowy 1840—1847.

Przewodniczka moja mijała te mogiły z głębokiém wzruszeniem, jak o tém świadczyły ręce, rozkrzyżowane na piersiach i oczy w dół spuszczone. Nagle przyklęknęła przy grobowcu, który z prostego wyciosany był kamienia, lecz szlachetnością struktury i misterną swą rzeźbą wzrok mimo woli do siebie przyciągał. „To było najmilsze me dziecię,“ szepnęła cichym głosem, poczém zdjąwszy z głowy wieniec, złożyła go na grobie. Gdy wstała, zbliżyłem się do kamienia ze czcią i wyczytałem na nim napis: PRZYJACIEL LUDU, Leszno 1834—1850. Odtąd postępowaliśmy spieszniejszym krokiem, bo ta część ogrodu, do któréj teraz weszliśmy, była posępną i z rzadka tylko posiana skromnemi krzyżami. Na napisy ich nie zwracałem uwagi i tylko jeszcze zatrzymałem oko na słupie mogilnym Szkółki Niedzielnéj (1837—1850) oraz pomniku, przedstawiającym kulę ziemską i zdobnym w napis: Przyroda i przemysł 1856—1858.

Po długiéj, niczém nie ożywionéj przeprawie stanęliśmy wreszcie u krańca cmentarza, którego pilnował mały grobowiec, chroniący zwłoki Tygodnika Poznańskiego (1862—1863), oraz wielkie mauzoleum w kształcie kapliczki z napisem: Przegląd Poznański 1845—1863, i wierszem: Mens viri fortis sibi constat. Zdala od nich dostrzegłem grobowy dół jakichś jednioddniówek, zarzucony cierniami i kamieniami, do którego nie miałem ochoty zaglądać.

Odetchnąłem, gdy opuściliśmy dziedzinę umarłych, lecz widok bynajmniéj się nie urozmaicił. Beatryca moja, idąc ciągle naprzód, rzekła słabym głosem: „Uchodźmy ztąd, bo mi duszno!“ i dla pokrzepienia się przyłożyła do ust trzy flakoniki z nektarem literackim, przy których dostrzegłem etykietę warszawską, krakowską i lwowską. Po chwili świeższe owiało nas powietrze i ujrzeliśmy się na kwitnącéj łące. Pierwszym, który nas tu powitał, był wysoki, barczysty mężczyzna w pełnéj zbroi. Po wielkim mieczu, którym zwykł był odbijać krzywe cięcia berlińskich Krzyżaków i karbować twarde czerepy Katkowów i Aksakowów, poznałem, że to jest Dziennik Poznański. Salutowałem go zatém po wojskowemu, pani Prasa zaś spojrzała na niego z tém zadowolnieniem, jakie widok krzepkiego syna zwykł wywoływać w czułych matkach. W téj chwili zbliżył się téż i czcigodny Ziemianin, wstawszy od poprawnego pługa amerykańskiego i pięknéj owcy z rasy Negretti, ażeby złożyć hołd dostojnéj swéj rodzicielce. Skłoniłem mu się nisko, gdy zaś nadszedł i Tygodnik Katolicki w długiéj rewerendzie, zdjąłem czapkę aż do kolan, mówiąc: Laudetur Jesus Christus!

Na kanapce z darni w pobliżu siedział sędziwy mędrzec, Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk, lecz zatopiwszy się w jakimś pożółkłym pergaminie, czy też starosłowiańskiéj ławnicy, nie dosłyszał przyjścia

pani Prasy, a ona nie śmiała mu przerywać uczonych dumań. Wzrok jéj też niebawem w inną stronę się skierował, gdzie stała otwarta trumna Przeglądu Wielkopolskiego. Ciało jego, choć od wielu miesięcy leżało spowite w śmiertelne czechło, nie było jeszcze zepsutém, tak że nieboszczyk zdawał się być tylko letargiem złożony. Przystąpiliśmy do mar a wspaniała dzierżycielka srebrnego pióra wymówiła formułkę zmartwychwstańczą: „Lazare, veni foras!“ W téj saméj chwili Przegląd podniósł się z trumny i wrócił między żyjących.

Patrząc w stronę, w którą się oddalał, ujrzałem dziwną mogiłę, z któréj biło światło, rzucając łunę na około. Ogniste promienie, wychodzące z ziemi, łączyły się w górze i tworzyły jasną piramidę; tylko na wierzchołku jéj była widną ciemna plama w kształcie litery jot. Poznałem, że to Oświata, i zapytałem się méj przewodniczki, czyby i téj gorliwéj pracownicy nie można było wskrzesić. Lecz ona, westchnąwszy, wskazała ręką przed siebie i rzekła: „Niestety tam nie pozwolą!“ Zdziwiony oglądnąłem się i spostrzegłem wysoki płot, którego deski na przemian czarno i biało były malowane. Odcinał on najpiękniejszą część łąki i zachodził głęboko w ogród. Ciekawością zdjęty, patrzę przez szparę do owéj zagrody i znajduję w niéj same nieswojskie twarze. Wzdłuż płotu przechadzała się cała gromada woźnych powiatowych i donośnym głosem w dwóch językach ogłaszała licytacye i subhasty. W środku stał jakiś pan w czarnym surducie, aż po szyję zapiętym, z białą krawatką i honorową oznaką na piersiach. Zdawał się nieco z góry spoglądać na sąsiada swego, który miał rysy oryentalne, wschodnio-niemiecki kaszkiet, i w téj chwili właśnie był zajęty lulaniem dwóch nowonarodzonych tygodników. Między rywalami tymi stał trzeci szermierz w mundurze pioniera kultury — nowicyusz jeszcze, lecz umiejący wybornie w motylą siatkę chwytać czytelników.

„Co to tam za życie, mój Boże,“ zawołałem mimo woli, „a u nas tak głucho! Prócz politycznych fanfar i fachowych dysput, ni jednéj wesołéj piosnki nie słychać.“ Pani Prasa, usłyszawszy ten zarzut, skinęła w milczeniu na mnie i zwróciła się w bok do brzozowego gaju, z którego przez białe drzew gałęzie przedzierał się do nas blask ogniska. Zbliżywszy się do niego, usłyszeliśmy śpiew młodéj dziewczyny, która, przepasana bylicą, stała przy płonącym stosie drzewa wśród licznéj rzeszy słuchaczów. Spóźniliśmy się trochę, bo w téj chwili pieśń ucichła i zamiast niéj zabrzmiał chór głośnych łajań i wyrzutów, który śpiewaczce o mało co lutni nie wytrącił z dłoni. — „To chrzest krytyczny méj najmłodszéj córy, Sobótki, przez który wszystkie moje dzieci muszą przechodzić,“ rzekła Prasa. „Gdym zapowiedziała jéj przyjście, każdy ją sobie inaczéj w wyobraźni swéj wymalował. Widząc dziś zawód, gniewa się i łaje mi dziecię. Lecz pójdźmy rozpoznać sprawę.“

Na widok dostojnéj wróżki umilkła rzesza a zapłakana dziewica w te do Prasy odezwała się słowa: „Szlachetna rodzicielko, ulituj się nad Sobótką i osłoń ją swemi skrzydły, gdyż wiele od nieprzyjaciół moich cierpieć muszę. Ledwie w prospekcie trwożnie na świat nosek wychyliłam, zaraz mnie pewien patryarcha z pod Wawelu tak silnym przywitał szczutkiem, iż prawie mnie odbiegła ochota wychodzić między ludzi. Teraz dopiero jednę piosnkę zanuciłam, a już mnie potępiają. Ja zaś jeszcze im dwanaście razy w tém ćwierćroczu chcę o różnych ciekawych rzeczach śpiewać i dużo ładnych pokazać obrazków. Cóż można, mój Boże, żądać więcéj za trzy złote polskie? Gdybym ja tak, jak moje ciotki w Warszawie, kazała sobie 18 złp. płacić na kwartał, to z pewnością w piękniejszéj i sutszéj, jak teraz, przychodziłabym szacie. Ależ wedle stawu sypie się grobla!“

Umilkła a wróżka tak przemówiła do zgromadzonych: „Jakiekolwiek są wady i niedostatki Sobótki, miejcie łaskawie państwo wzgląd na okoliczności, wśród których wyrosła. Chciejcie pamiętać, że w koncercie piśmienniczym naszéj Wielkopolski panuje pausa longissima od lat wielu. Tradycye literackie prawie zupełnie w skutek tego zamarły. Trzeba je dopiero wskrzeszać i nowe pokolenie piszących wytwarzać. Choćby to pismo młode było najsłabszém, jest ono jednakże w każdym razie krystalizacyjnym jądrem, około którego świeże siły mogą się z czasem grupować i dla tego już samego zasługuje na poparcie. Ostrożne koleżanki jéj z sąsiednich dzielnic pytają się wprawdzie, czy organ nowy u nas w ogóle potrzebny? Lecz niechaj mi zechcą wierzyć, że tak jest rzeczywiście. Kto taki czarno-biały parkan, jak ja, ma pod nosem, nie może poprzestać na sprowadzaniu duchowego towaru z innych części kraju. Trzeba na miejscu fabryki literackiéj — raz że tylko bliskość jéj może niejeden drzemiący talent do działalności pobudzić, powtóre, że u nas po małych miasteczkach tysiące jest domów polskich, do których prędzéj tania i olbrzymim aparatem kolportacyjnym rozporządzająca Gartenlaube lub Sonntagsblatt trafi, niż znacznie droższe pismo polskie, gdzieś o kilkadziesiąt mil ztąd wychodzące. Dla tego niechaj będzie pokój Sobótce, która jedyna pod względem ceny może współzawodniczyć z całą czeredą pism niemieckich. Dixi!“

Przemówienie to wielkopolskiéj Prasy trafiło do przekonania ludzi światłych a pobłażliwych. — Była jednakże gromadka pessymistów, którzy się koniecznie domagali wyrzucenia z gaju śpiewaczki, powiadając, że ona nic nie warta. Do tych obróciła się wróżka z uśmiechem i grożąc im filuternie paluszkiem na nosie, rzekła po francuzku: „C'est un terrible avantage que de n'avoir rien fait, mais il ne faut pas en abuser!!“

W końcu przystąpiła do mnie i rzekła: „Teraz widziałeś całe moje królestwo, klęknij więc i przyjmij namaszczenie na paladyna Sobótki.“ Posłuszny, zgiąłem kolano a wróżka uderzyła mnie trzykrotnie piórem swém po ramieniu i zdjąwszy kryształowy kałamarzyk z głowy swéj, wylała mi z niego kilka czarnych kropli na czuprynę. Błogosławiąc w téj chwili los, który mnie zrobił brunetem, wstałem po dokonanym obrzędku, wnet rozległ się szum w powietrzu, całe widzenie znikło, a ja znalazłem się w sypialnym mym pokoju na łóżku z mocnym bólem głowy. XX.

ROZMAITOŚCI.

Wyborna rada.

Dwie siostry leżały w jednym pokoju i miały zupełnie równe dzieci, tak iż ich niepodobna było od siebie rozróżnić, zwłaszcza że zupełnie je równo ubierały. Naraz powstaje hałas niezmierny. Ojciec wpada z drugiego pokoju i pyta się, co się stało? Obiedwie siostry ledwo od łez te słów kilka wyrzec zdołały: Ach moj kochany Ojcze, nieszczęście wielkie! — piastunki dzieci przemieniły, tak iż teraz żadna z nas nie wie, które dziecko jest moje, a które siostry. — Uspokójcie się moje córki kochane, odrzekł strapiony ojciec... Powiedzcie mi tylko czy wiecie z pewnością, iż piastunki przemieniły dzieci? — Wiemy z pewnością, zawołały obiedwie zapłakane siostry. — Na to, moje córki kochane, najlepsza jest ta rada — zawyrokował ojciec — niech piastunki znowu odmienią dzieci, a każda z was z pewnością swoje odzyska.

Wniosek logiczny.

Gdy ozdrowieje chory, natura pomoże lekarzowi; — a gdy umrze, natenczas lekarz pomógł naturze.

Skrzypce blaszane.

Jan Viotti był sławnym skrzypkiem, urodził się w Piemoncie, i został dyrektorem opery w Londynie. W r. 1819 objął na krótki czas także dyrekcyą wielkiéj opery w Paryżu. W tym to czasie przechadzał się po Elizejskich polach w Paryżu i napotkał tam biednego niewidomego starca, grającego na blaszanych skrzypcach. Mój dziadku, zapytał go się Viotti, czybyście mi nie sprzedali swych skrzypcy? — Nie mogę, mój panie, odrzekł niewidomy skrzypek, boby mi przyszło inne kupić, a te są mi nader dogodne.— To powiedźcie mi przynajmniéj, czemu wasze skrzypce blaszane? — Nie zawsze byłem ślepy mój panie, lecz po ciężkich, mozolnych pracach zestarzałem się i zaniewidziałem, a może byłbym i umarł z głodu, gdyby mój poczciwy bratunek Eustachy, co tu w Paryżu jest blachnierzem, nie przyszedł mi w pomoc. On to mnie wziął do siebie i żywi teraz choć sam ma tylko 30 sous tygodniowo (około 12 śrbr.) i wyżywienie. Mój Boże! Zawołałem, gdybym miał skrzypce, tobym coś zarobił, a nie był tobie mój synu takim ciężarem. Po tygodniu przyniósł on mi skrzypce blaszane, które sam zrobił z odrzynków za pozwoleniem majstra i dał mi je, mówiąc: nie bój się stryju, chociaż je upuścisz, nie pękną. Tak to z łaski mego kochanego bratunka mam skrzypce, żywię się grą i jeszcze mu czasem kilka sous do domu przynoszę.

— Dwadzieścia franków (około 32 Zł. pol.) dam za nie, rzekł Viotti: możecie sobie kupić lepsze i jeszcze wam co zbędzie; ale pozwólcie mi ich doświadczyć. — To mówiąc, wziął Viotti owe blaszane skrzypce w ręce, i zagrał ostro. W jednéj chwili, mnóstwo ludzi się zebrało, bo każdy był ciekawy dowiedzieć się co to znaczy, że pierwszy dyrektor opery gra na blaszanych skrzypcach przy niewidomym dziadku. Przytém zebrał się naturalnie ładny grosz dla biedaka.

— Oho! zawołał niewidomy skrzypek, gdy Viotti grać przestał — widzę, że wyborne mam skrzypce; nie dam ich od 40 franków. — Dobrze, dobrze, odrzekł Viotti, i... dał mu 40 franków za blaszane skrzypce, do których dziwną powziął sympatyą.

Dotychczas nie miały one wyższéj wartości, lecz teraz nazwisko nowego właściciela i historya oryginalnego ich zakupu podniosły je do wysokości antykwarskiéj pamiątki. Na licytacyi spuścizny Viottego, gdy się rozległ głos wywoływacza: skrzypce blaszane, kto co da za nie? podano początkowo tylko 1 funt szterlingów (40 Złot. pol.), lecz natychmiast 10 funtów zawołał drugi,... 20 funtów... 50 funtów... 100 funtów... 150 funtów... po pierwsze... po drugie... i po trzecie... Przybito w końcu Anglikowi skrzypce blaszane za 150 funtów czyli za 1000 talarów, które nowo kupione w składzie, kosztowałyby zaledwie 2 złote polskie.

Tak więc kilkanaście pociągnień smyczka, zrobionych genialną ręką, podwyższyły wartość lichego instrumentu właśnie o 3,000 razy. Dobrzeby to było, gdyby tak każdy mógł fabrykować osobliwości historyczne, lecz niestety przywiléj ten posiadają tylko sławni ludzie.

X. S. T.

Nauczka dyplomaty.

Talleyrand mawiał: Chcesz być miłym gościem w towarzystwie, słuchaj z uwagą nieraz już powtarzanych wiadomości i śmiej się z odgrzewanych dowcipów.

Nagła zmiana frontu.

Aleksander Dumas był raz na obiedzie u doktora Gital, który się liczył do pierwszych znakomitości lekarskich w Marsylii. Po obiedzie, kiedy wszyscy goście przeszli do salonu na czarną kawę, gospodarz domu prosił poetę, żeby zaszczycił jego album czterema wierszami swego utworu.

„Dobrze“, odparł gość i wziąwszy ołówek, napisał natychmiast te kilka wierszy:

Odkąd mój przyjaciel Gital
Marsylię swą praktyką darzy,
Zburzony został szpital...

„Pochlebco!“ przerwał mu gospodarz, który z ciekawością patrzał przez ramię piszącego.

W téj chwili Dumas dodał ostatni wiersz:

I kilka przybyło cmentarzy.

Zdania moralne.

Lepiéj zmoknąć, niż utonąć.

Kto pochlebstwa słucha, zaprzedaje się bez pieniędzy.

Doświadczenie przyświeca człowiekowi, jak gwiazda polarna — tylko wieczorem.

Kto się zwierza gadatliwemu i pożycza marnotrawcy, znajdzie tajemnicę swą wszędzie, pieniędzy zaś nigdzie nie znajdzie.

Wiele zyskał, kto stracił palec, by ocalić rękę.

Szarada.

Pierwsze owoc — futro wtóre,
A za wszystko biją w skórę.

(Rozwiązanie zagadki w nr. 1: **Żóraw**.)

Wiadomość o nowych książkach.

Kozłowski, K. Gry i zabawy dla młodzieży. 16o. 232 str. i 8 tablic rycin. 22½ sgr. Zawiera opis blisko 300 różnych gier tak na wolném powietrzu jak w pokoju — tak dla młodzieży jak i dorosłych.

Oryl. Komedya z przedmieścia ze śpiewem, w jednym akcie. 8o. 88 str. 5 sgr. Komedya ta mianowicie dla Towarzystw Rzemieślniczych jest przeznaczoną.

Pamiętniki Pana Kamertona, wydał L. Potocki. 3 tomy. 8o. 876 str. 2 tal. 15 sgr. Zawiera bardzo ciekawe szczegóły we formie pamiętnika o Litwie i Żmudzi — częściach dawnéj Polski — prawie dotąd nie znane. Cena nader umiarkowana.

Schmitt, Henryk. Dzieje panowania Stanisława Augusta. Tom I. 396 stron. Prenumerata na całe dzieło w 4 tomach tylko 5 tal. 10 sgr.

Dzieje niniejsze odznaczać się mają bezstronnością krytyki, sumiennością opracowania i nizką ceną, która następnie znacznie podwyższoną zostanie.

Księgarnia **M. Leitgebra.**

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Edmun. S. w Poznaniu: Dziękujemy za pamięć, lecz rebusów obecnie nie możemy jeszcze zamieszczać. Panu K. O. w L. Nie możemy. Rym: skromną i nadobną zanadto pachnie Częstochową.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.